



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA

Nigdy może nie kreślono na kartach tego pisma równie smutnej wieści, jak ta, którą nam obecnie zapisać przychodzi.

Bohdan Zaleski nie żyje!

Ostatnia gwiazda świetnej Plejady Mickiewicza zagasła. Przeszło bić serce, które samo o sobie mówiło, że „minionych mar” przesnić nie może—zamknęły się na wieki oczy „zawsze w jedną gdzieś stronę” patrzące—zerwała się pieśń „czarowna i zaczarowana,” której równiej nie było, podobnej nie będzie nigdy.

Stało się! Ostatni widomy słup graniczny, oddzielający najświetniejszą epokę poezji naszej od dni obecnych, został wyrokiem Stwórcy obalony, a wraz z nim i cała ta epoka zstępuje do grobu!

Słowik ukraiński skonał w ubiegłą środę (31 Marca) o godz. wpół do ósmej rano, w Villepreux pod Paryżem.

Zabrała go wiosna, tasama, co słowikom rozwiązuje gardziółka — ta, której powabów i woni nikt nadeń lepiej śpiewać nie potrafił.

Śpiewak „Rusałek,” jak wiadomo, milczał już oddawna.

Po ukoronowaniu swych dźwięcznych „Dumek,” „Szumek” i „Wiosnianek,” wylatującym ponad nie „Duchem od stepu” i rafałowskiej mocy arcydziełem: „Przenajświętszą Rodziną”—zamilkł zupełnie, jakgdyby czuł, że myśl, która wzniosła się w tym ostatnim poemacie tak wysoko, bo aż do stóp Tronu Przedwiecznego, nie może już chodzić po ziemi.

Dwa tylko razy, wyjątkowo, ciszę tę swoje przerwał w ostatnim dwudziestoleciu.

Pierwszy raz w roku 1870, gdy spadły nie-szczęścia na kraj, w którym znalazł długą a spokojną gościnę — i drugi, gdy z powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem” zaleciały doń owe dobrze mu znane rozchowy wicheru i wonie ukochanych stepów. W pierwszym wypadku począł śpiewać żal nad zwyciężoną i cisnął przekleństwo dla gnębiiciela — w drugim oddał najwyższą pochwałę autorowi „Szkieł węglem,” mówiąc: „Tak, poznaję ją, to ona, to tasama moja krajina” — tasama, którą tak kochał, że chciał ją mieć nawet i po śmierci — w niebie!...

Lirnik ukraiński zmarł w przededniu czekającej go biedy i niedostatku!

Trudno to wymówić, trudniej jeszcze uwierzyć, a jednak niema w tem ani cienia przesady. Wiadomość tę przyniósł do kraju E. M. Andrioli, który ciężko już chorego i nieprzytomnego odwiedzał na dwa dni przed zgonem i powiada dosłownie: „Gdyby był Zaleski żył jeszcze o miesiąc dłużej, byłibyśmy doczekali tej boleści i upokorzenia, iż ostatni z wielkich naszych poetów musiałby zapukać do drzwi zakładu św. Kazimierza w Paryżu, szukając tam na resztę dni swych przytułku. Poecie i jego ojczyźnie Bóg tego wstydu oszczędził...”

Nieźródnany malarz „Przenajświętszej Rodziny” poniósł w ostatnich czasach dotkliwie straty majątkowe, a do nich przyłączyła się jeszcze boleść, z powodu świeżego zgonu zięcia s. p. Okinicyca, zmarłego w dniu 20 z. m.

W parę dni po pogrzebie Okinicyca zapragnął Zaleski odwiedzić grób jego i nie dał się odwieść od tego zamiaru. Podczas tej wycieczki przeziębził się i legł na łożo, aby już zeń więcej nie powstać.

Podczas krótkiej zresztą, bo tygodniowej zaledwie, choroby był prawie ciągle nieprzytomnym

i nie poznawał nikogo, a z ust jego, obok westchnień i jęków boleści, wychodziły tylko urywane słowa Modlitwy Pańskiej.

Zmarł na prostem, żelaznem, prawie obozowem, łożu, ze słowami pacierza na krzepnących wargach, w otoczeniu swoich najbliższych i grona rodaków, między którymi znajdował się także syn Mickiewicza, nieopuszczający ustronnego domu poety przez cały czas jego choroby...

Cośmy przez zgon ten stracili — nie tu miejsce szczegółowo się zastanawiać; dość, gdy powiemy, że skonał ten, który nad trójcą naszych największych poetów unosił się niby skowronek i „latał a piał” tęskno, swojsko, podniosłe i czule.

Zginął — i nie słowem żadnem, lecz łzami tylko możemy go godnie pożegnać...

\* \* \*

Wobec tej straty m aleją, naturalnie, wszelkie inne wypadki naszego życia powszedniego.

Ale nie jest wolno nam i na nie oczu zamykać.

Oto pō śnieżycy, jak łatwo było przewidzieć, przyszła powódź, a chociaż na szczęście, nie dosięgła, i zapewne już nie dosięgnie, rozmiarów z roku zaprzeszłego, to jednakże w przeciągu dni paru poczyniła już znaczne szkody, zalewając zasiane oziminą pola.

W chwili, kiedy słowa te kreślimy, Wisła uwolniona w d. 30 Marca z powłoki lodowej, hu-czy i szumi groźna, potężna, wspaniała, a ulubiony cel wycieczek letnich, warszawskiego ludu — Saska Kępa — nurza się w zimnych, spienionych falach, które bronią do niej przystępu.

Najmniej wszakże szkód poniosła Warszawa i jej najbliższa okolica. Cała kłęska ograniczyła się tu na zalaniu kilku nisko położonych ulic, oraz na szkodach jakie poczyniła pływająca gwał-

townie kra. przez naruszenie brzegów, tamy pod Saską Kępą i porwanie paru letnich łaźni.

Gorzej nierównie działo się w górze rzeki, jak n. p. w okolicach Kazimierza—i w dole, między Zakroczymlą a Płockiem. Woda zerwała tamę moczyłowską i rozlała się szeroko po wioskach i polach, na przestrzeni trzech wiorst a gdzieś tam i szerzej nawet. O rozrzuconych chatach, zniesionym dobytku lub ofiarach życia ludzkiego, na szczęście, wcale prawie dotąd nie słyhać; że jednak wiele zasiewów przepadnie, to nie ulega żadnej wątpliwości.

W ogóle atoli, z łaski losów, wyszliśmy jeszcze z tej sprawy wcale obronną ręką, zwłaszcza, jeśli weźmie się na uwagę tak ciężką ubiegłą zimą i niepamiętne od lat wielu masy spadłego śniegu. Również przyznać należy, iż zaprzeszłoroczna klęska przyczyniła nas do energicznego ratunku. Zrobiono tymrazem wszystko, co zrobić się dało; każdy spełniał gorliwie i szybko swój obowiązek: a temu właśnie znaczne zmniejszenie strat zawdzięczać należy.

Czy ofiary będą potrzebne? dotąd nie wiadomo. Zarządzono już ułożenie wykazów dotkniętych powodzią, ale rezultaty mogą być znane dopiero za parę tygodni. Zdaje się atoli, iż obejdzie się tym razem bez czerpania z kieszeni ogółu, tem więcej, iż z ofiar na powodzień z r. 1884 pozostało około 20,000 rubli, które teraz mogą i powinny być na ten cel użyte.

Rzadko w ogóle pochwalić się możemy szczęściem w nieszczęściu, ale tym razem było ono zupełnie po naszej stronie, klęska bowiem mogła przybrać znacznie szersze rozmiary.

\* \* \*

Oddawna zapowiadane odczyty Jerzego Brandesa o romantyzmie w naszej literaturze, przysły na koniec do skutku i zadziwiły wszystkich.

Wprawdzie można było przewidzieć, że krytyk tej, co Brandes powagi i niary, nie przystępowałby do przedmiotu, gdyby nie był pewnym gruntu pod stopami, mimo, że z poezją naszą z Epoki Mickiewiczowskiej mógł się tylko z przekładów zapoznać.

Pessimistów atoli nie brakło, ale ich prelegent zupełnie rozbroił.

Zaznaczywszy na wstępie, iż wie o tem dobrze, że każdy z obecnych w sali zna literaturę polską lepiej od niego, oświadczył, iż ciekawość dla słuchaczy leżeć może tylko w pytaniu: jak też literatura nasza wyda się cudzoziemcowi, jaki rys w niej uderzy go najwięcej, a uderzyć może właśnie dlatego, iż nie ma, jak my, ciągle oczu mniej więcej w jeden punkt zwróconych?

Tak postawiony programmat estetyk duński wypełnił znakomicie; okazał zaś, że nie tylko rozumie ducha naszej poezji, ale odczuwa nadto wszystkie nasze sny i pragnienia, ciągnące się, jak nie czerwona, przez wszystkie twory wielkich naszych romantyków. Uderzył go brak ogólnoludzki w naszej poezji porywów, ale znalazł to naturalnem u nas.

Wszyscy więc zostali przekonani i pokonani—z wyjątkiem... jednej tylko „Roli“, która, ze zwykłym sobie warcholstwem, nie mogła darować estetykowi duńskiemu, że wyszedł... z żydowskiej rodziny.

\* \* \*

Gorące oklaski dostały się laureatowi ostatniego konkursu dramatycznego p. Stanisławowi Kozłowskiemu, z którego „Alberta“ odsłone jedną odczytano na urządzonym w zeszłym tygodniu raucie w Ratuszu, na korzyść Towarzystwa opieki nad biednymi matkami, oraz ich dziećmi.

Mimo zwykłego podczas podobnych zabaw roztrągnięcia w sali, wszyscy obecni w uroczystej ciszy i skupieniu wysłuchali tego ustępu, przekonując się zarazem (oile jest to możebnem bez poznania całości), że wyrok kommissy konkursowej był usprawiedliwionym. Ustęp ów zaświadczył, że w autorze „Wójta Alberta“ przy-

bywa nam bądźco bądź poeta niepośredniej miary, który oby dalej lot ku słońcu rozwinął.

\* \* \*

Mieliśmy także i jubileusz. Świącił go Leopold Lewandowski, znany powszechnie dyrektor orkiestry Teatru Rozmaitości i twórca setki całej skocznych, dziarskich, z serca naszego wydobytch i do serca przemawiających, mazurów.

Utworów tych nie potrzebuję naszym czytelnikom przypominać, ani też wdawać się tu w ich ocenę, sądzę bowiem, że nie ma jednej nawet między niemi, któraby po mazurach Lewandowskiego nie tańczyła lub choćby nie widziała tańczących.

Dla mnie atoli największą Lewandowskiego zasługą jest, że ocenił sam swe siły najlepiej, że przestał na małym i „czynił w swoim kółku“, nie rwiąc się za wysoko, a pracując uczciwie i wytrwale.

Tak przepracował lat 35.

Spory kawałek czasu i dobrze o człowieku świadczy. Lewandowski przytem dba o swoich „podwładnych“, opiekuje się niemi w chorobie i nieszczęściu, a niejednego z członków swej orkiestry wydobył, pomocą w porę podaną lub radą, ze szponów biedy lub... artystycznego nałogu.

Zyskał sobie też miłość wszystkich swoich „grajków“ i za to mu się szczere uznanie należy.

\* \* \*

Muszę zakończyć dziś prośbą, nie moją jednak, ani pisma naszego, lecz redakcyi „Wszechświata.“

Oto grono przyrodników zapragnęło zebrać szczegóły odnoszące się do klimatologii kraju naszego i mogące posłużyć w następstwie do ułożenia odpowiedniej mapy.

Idzie o to, aby każdy, komu bliżej z przyrodą stykać się dano, zechciał na wiosnę obserwować czas rozkwitu wszelkich drzew i roślin i zapisał dzień, w którym po raz pierwszy po zimie spotyk się z kwitnącym fijołkiem, bzem, akacją, wierzbą, topolą, lipą i t. d.

Obowiązek łatwy i miły, a sprawa ważna i pożyteczna. Z tych-to bowiem drobnych notatek powstaną z czasem dokładne wykazy czasu kwitnienia drzew w naszym kraju i owe mapy klimatologiczne, o których wspominaliśmy.

Według rozesłanej już przez wspomnianą redakcyę instrukcyi, obserwować należy wszelkie rośliny na niewielkiej przestrzeni i corocznie te same okazy. Do obserwacyi nadają się najlepiej drzewa i krzewy, najmniej zaś rośliny, zwłaszcza jednoroczne. Notować należy czas, nie tylko ukazania się pierwszych kwiatów, lecz i uwagę: czy roślina wytrzymuje zimą i t. p.

Bliższe objaśnienia znajdziecie w schemacie, który z pewnością w tych dniach rąk waszych dojdzie.

Zwłaszcza zaś panie powinny wziąć do serca prośbę redakcyi „Wszechświata.“

Wszakże, jak mówią poeci, a na co i ja się zgadzam najzupełniej: „każdy kwiat jest wam bratem—każda róża siostrą“...

Czyż więc poświęcenie temu rodzeństwu trochę uwagi na wiosnę mogłoby dla was jaką trudność stanowić?

## WIOSNA.

Wiosna tęsknotę w sercu twojem budzi,  
Wyciągasz ręce do przeszłości cienia,  
I prosisz smutny, chociażby marzenia:  
Niech przyjdzie—sennym obrazem cię złudzi,  
Da ci się napić z tej czary nektaru,  
Który czarowne sprawia upojenia.  
Pragniesz czuć w piersi serce pełne żaru,

I ścisnąć dłoń, jak twoje, gorące,  
Myśleć, że można zalecieć na słońce,  
Kiedy duch skrzydła szerokie rozwinie.—  
Że można potem—po spełnionym czynie,  
Położyć głowę na kochanem łonie,  
I czuć, że jedna dusza w drugiej tonie,  
W szczęścia godzinie...

Lecz cóż? Po takim śnie jest przebudzenie.  
Ile boleści tu, ile żaloby?...

Mogą się nagle pootwierać groby,  
Mogą się ztamtąd podnieść takie cienie,  
Co będą płakać po żywota męce,  
Ku tobie cisnąć się po uzalenie,  
Będą wyciągać kościotrupie ręce....  
I stokroć lepiej jest błagać wód Lety,  
By przyszła—serca zalała ci rany.—  
Co? nie chcesz widzieć.... Niestety! niestety!  
Wolisz mieć w piersiach ból niezapomniany,  
By nie zapomnieć i chwil, które były  
Pełne czarownej rozkoszy i siły.

M. I.

## BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Zagadywany kanclerz nie zdradził się nawet przed królem i wieczorem dopiero, gdy się zebrał dowódzcy, aby plan dalszego pochodu na odsiecz Zbarażowi obmyślić, wszedł z majestatyczną swą postawą, niosąc w ręku, jako zamię zwycięstwa, list od Islam Gereja... który był odpowiedzią, niestety—na zapytanie w imieniu... Stanów Rzeczypospolitej.

Pierwszy krok zmuszonym był uczynić kanclerz, chociaż go to kosztowało wiele. Nadrabiał w liście tonem groźnym i dumą, ale samo wysłanie zapytania do Hana dawało uczuć słabość. Przypominano Tatarom przymierze, podarki, które im dawano, a które oni nazywali haraczem...

Odpowiedź Hana, dosyć łagodna, okazywała skłonność do porozumienia się z Rzeczpospolitą.

W chwili, gdy ten list Islama przyniesiono, wraz z tłumaczeniem na język łaciński, wielu z dowódców otaczających króla, którzy dotąd wcale o rozpoczętych krokach dla porozumienia się nie wiedzieli, wybuchnęli głośno z protestacyami. Starzy rotmistrze i pułkownicy chcieli iść i bić się, ginać lub trzymać się odpornie, oczekując na pospolite ruszenie, okopawszy się jak Wiśniowiecki pod Zbarażem, ale wypraszać się u Hana i kłaniać Tatarzynowi!—wydawało się im sromotą okrutną.

Król przecież zaraz w początku usta im zamknął, broniąc Ossolińskiego, wyrażając się otwarcie za tem, aby krwi oszczędzić.

Po chwili zdumionego milczenia niemniej przyszło do żywych sporów i ostrych słów. Kanclerz, poparty przez króla, wymowny, zręczny, przy swoim się utrzymał.

— W najwyższej mam czci—rzekł w końcu—heroiczne czyny panów regimentarzy we Zbarażu, ale gdy dla króla jmc i dla wojska mogą uniknąć alternaty niepewnej w polu, a krwi chrześcijańskiej zaoszczędzić, nie będę się sromił ani z Hanem traktować, ani go zapłacić.

Oderwać go od Kozactwa, zmusić Chmiela do ukorzenia się i wypuszczenia obłożonych panów regimentarzy, zwrócić go do posłuszeństwa, jeśli nie orężem, to porozumieniem się z nim, nie będę się wahał.

Król milcząco mu potakiwał.

Starszyzna jednak burczała i zżymała się.

— Lepiej życie poczciwie dać, niż dziżyć tej sromotnie czolem bić... Nam wzorem być powinni Zbarażcy, którzy po dziś dzień się heroicznie trzymają, gdy my nie począwszy się cofamy.

Nie słuchano starych; król i Ossoliński odpowiedzialność brali na siebie. Ci, co z rady wychodzili, burzyli się, inni już w żarty i przyciski obracali swój smutek. Pomijano Jana Kazimierza; na kanclerza plwano i urągano się z jego rozumu.

Świadczą o tem wszyscy współcześni, i na kartach ówczesnych dyaryuszów co krok się spotykamy z usposobieniem szyderskiem, które naówczas panowało. W najcięższych razach drwiono i dworowano z ludzi i wypadków. Nieubłaganych tych siepaczy, nieprzebaczających nikomu ani sobie nawet, zwano łagodnie Jowialistami. Do nich należał niedawno przedtem zmarły w Krakowie dzielny żołnierz, ale razem szaleniec dowcipny Samuel Łaszcz, Strażnik Koronny, który banicyami i dekretemi przeciw sobie ferowanemi ferezye sobie na kontempt prawa podbijać kazał, a umierając, gdy doń przysli wierzyciele i upominali się o należności, cygana skrzypka, którego z sobą wszędzie wozik, przywołał i wierzycielom na pociechę na skrzypkach mu kazał zagrać. Tyle z niego mieli, bo wprędce ducha Bogu oddał...

Takim był ów Zygmunt Skarszewski, stary dworak Władysława IV, i Stanisław Xięzki, żołnierz dzielny, ale języka ostrego, jak brzytwa. Tysamym duchem wesołej obojętności, przejęty był i Pasek, który sobie ze wszystkiego dworował.

W obozie też króla pod Zborowem na tych jowialistach nie zbywało. znajdowali się właśnie Skarszewski, Xięzki i siła im podobnych.

Ci zaraz sobie z kanclerza i jego zalotów do Tatarów poczeli stroić żarty; ale obok nich gro mada się znalazła, która wołała się wykupić i do domu powracać, nie zaznawszy głodu i ucisku...

Większość jednak przeciwko Ossolińskiemu była, którego zdawna nie lubiono, zarzucając mu dumę, ubieganie się za tytułami i podbudzanie Władysława IV do wojny, za którą teraz pokutowano.

Nie zabrakło jowialistom treści do żarcików ostrych z Ossolińskiego, z króla, z siebie i do porównań Zbarażan ze Zborowczykami...

Sklonność ta do szyderstwa wistocie była jedną z cech wieku, jakby rozpaczającego o przyszłości. Nie była może bez wpływu na wyrobienie tego humoru reformacya i polemika między starym Kościołem a zwolennikami nowinek, ale i inne fermentacje tę zrodziły żywioły... Sposób życia, nieustanne ucztowania, po obozach obcowanie mężczyzn samych z sobą, bez udziału kobiet, puściły wodze językom.

Gdy kto raz, jak pan Samuel Łaszcz albo Pasek, zasłynął z tego lekceważenia sobie wszystkiego i ośmiewania życia—wynoszono go, porywano, zmuszono niemal do wytrwania w tym szale do końca.

Dowcip ten, często tragicznie brzmiący, przebija się w pismach Wacława Potockiego, w pięknych poezjach Morsztyna, w mnogich tego czasu pozostałościach... i w żywotach ludzi naigrawać się zdających z własnego losu. Było w tem coś rycerskiego ducha, ale sceptycyzmu i lekceważenia więcej jeszcze.

Na Ossolińskiego rycerstwo-by może gwałtowniej daleko się rzuciło, gdyby nie król, który stał widocznie przy nim. Poszanowano majestat jeszcze, ale wiele mu blasku odjęło to nagłe Jana Kazimierza ostygnięcie.

Uradowano się temu bohaterskiemu rozgorączkowaniu, gdy król wołał, że gotów życie dać, po obozie dniem i nocą jeździł, z pola nie schodził, ludzi rozsyłał, rozkazywał, rozstawiał; zdumiano się postrzegłszy, jak nagle ostygł, spowolniał, zamikł—i zwrócił znowu więcej ku modlitwie...

Niektórzy, niewinniając go, składali wszystko na to pospolite ruszenie, które się nie poruszało i nie przychodziło. Drwiono więc z niego okrutnie.

Kanclerz tymczasem, na nic nie zważając, bar-

dzo zręcznie jedne układy prowadził potajemnie, a drugie urzędownie i jawnie...

Tatarowie już się na zjazd i wysłanie od siebie do traktowania kommissarzów godzili. Umawiano się już o zakładników, o miejsce i czas. Ossoliński pewnym był zwycięstwa.

Zaledwie się to dokonało, choć skrycie i po cichu, Kozacy natychmiast wiedzieli, co się święci. Skoczyli do Islam Gereja, starając go się utrzymać przy sobie; Han ich grubijańsko odprawił.

Cała ta wyprawa dosyć go już kosztowała, a łupów przyniosła mało. Wołał z królem do czynienia mieć, niż z Chmielem, który tak samo, jako polskich wysłanych do siebie kommissarzy zwodził, okłamywał, miotał nimi, tak i Tatarów ludzi obietnicami, i na swą korzyść wyzyskiwał.

Ossoliński drugiego dnia przyniósł królowi wiadomość, że prawdopodobnie z Tatarami za pieniądze do porozumienia przyjdzie.

Ale Han ciężkie, upokarzające narzucał warunki. Ossoliński rad był utaić je, bo wiedział dobrze, iż zgrozę i oburzenie wywołują. Tatarzy wprost haraczu wymagali sromotnego. Nie zmieniło to jego natury, iż go podarkiem nazwał do zwolili—niby jurgieltem dla wojsk, które Rzeczypospolitą posiłkować miały przeciwko jej nieprzyjaciołom.

Chmiel, spróbowałszy napróżno Hana odciągnąć od sojuszu z królem, natychmiast zmienił ton i postępowanie.

Mistrz, niezrównany w kłamstwie, które, to gburowstwem, to jakąś niby głupotą, to pijaństwem się okrywał, Chmielnicki, niby strwożony, płakać począł, pożądać przebaczenia i pojednania, garnąc się też do króla, któremu gotów był paść do nóg i poprzysiąc służby wierne.

Ze wszystkiego, co współcześni o tym wodzu Zaporozców podają, całego nierozumiejąc, widać w nim najprzewrotniejszego szalbierza, który oszukuje wszystkich z kolei: Króla Polskiego, Tatarów, własne wojsko swoje i wszystkich, z którymi ma do czynienia.

Jego kameleonowskie oblicze, jednego dnia zalane łzami skruchy, drugiego wściekłością się pieni, potem szalem jakimś, jak mgłą, osłania, ale niczemu wierzyć nie można: oszukuje wszystkich i zwodzi.

Z nadzwyczajną zręcznością okazuje się umyślnie szalonym, dzikim, aby mu wszystko było wolno...

Gdy mu z tem dogodniej, pijanym się czyni i bezrozumnym, potem zbiedzonym i pokornym, a nazajutrz wybucha znowu, grozi i okrucieństwem przeraża.

W tych wszystkich metamorfozach jedna myśl stale i uparcie go prowadzi: zawładnięcia krajem, uczynienia się panem Rusi, założenia dla siebie osobnego królestwa, które na początek gotów jest powierzyć opiece najmniej niebezpiecznego sąsiada.

Wyzyskuje wszystkich i wszystko, nie wiąże się niczem, przysięga i łamie przysięgi z największą łatwością, obiecuje i nazajutrz nie wie i nie pamięta, co przyrzekał... To pijaństwo, o którym często jest mowa, widocznie jest dla niego doskonałym środkiem, do urągania się z ludzi. Widać dziś, że pijanym był zawsze, gdy mu to posłużyć mogło.

Pod Zbarażem, przekonawszy się, że rycerstwo polskie nie całe było można piławiecką miarą szacować, gdy mu się tu Islam Gerej z rąk wyśliznął,—obrachował natychmiast, że pozorny, chwilowy sukces Polaków może doskonale na korzyść swoje obrócić.

Zaledwie Han począł się umawiać z Ossolińskim o ten haracz, który podarkiem nazywano, Chmiel natychmiast oświadczył, że i on, ulegając namowom Islam Gereja, gotów jest do układów, do zgody, do poddania się i poprzysiężenia wierności królowi jmości.

Wiedział, że tem uspi niebardzo chętną do wojny szlachtę, zyszcze czas do lepszego zorganizowania się, a przez traktaty wcale związanym nie będzie. W obozie polskim nie wiedział jeszcze nikt o zwycięstwie Radziwiłła, który zadał

klęskę wielką Kozactwu. Chmiel już był o niej zawiadomiony.

Rozumiał też dobrze, iż król na początku swego panowania, aby się mógł pochłubić wiktoryą i traktatami, gotów przyjąć najcięższe warunki. Postanowił korzystać z tego—i rachuby go nie omyliły.

Zwrót ze strony Chmiela nastąpił tak jakoś nagle, dziwnie, iż król i kanclerz, nie wiedząc czemu go przypisać, wieszowali sobie przebiegłości w porozumieniu się z Hanem.

Ossoliński przypisywał po części tę powolność posłuchom o ciągnącym groźnym pospolitem ruszeniu, król opiece Najświętszej Panny Maryi Bełskiej, która po Czerwińskiej i Częstochowskiej była teraz w największej weneracyi.

Jowialści obozowi z niedowierzaniem i podejrzliwie wieść o układach przyjęli. Prostem rozumem chłopskim, mówili, łatwo widzieć, że Tatarowie i Kozacy tak bardzo się nie ulekli nagle; coś więc pod spodem tkwić musiało! Zkądby Chmiel skruszonym miał być tak niespodzianie?

Drudzy radzi, że rychło do domu powrócą, cieszyli się i sławili króla i kanclerza.

— Abyśmy tylko do domu sromu nie przywieźli! — mrużano.

Zbarażcy bohaterowie budzili zazdrość. Drwiono pocichu z przemądrego kanclerza, który, nie oglądając się na paskwile, układy do końca prowadził.

— Warunków ich nie wiedział nikt... domyślano się, że zaważą ciężko, na poczciwej sławie polskiego rycerstwa...

Król nic nie dawał poznać po sobie, ale twarz mu się wyjaśniała mimowoli. Zapytywany, milczał... Ossoliński odprawił dwuznacznikami, głosząc tylko, że Rzeczpospolita tryumf odniosła, przeważny, a król okrył się chwałą. Nie mówił o sobie, lecz domyślić się było łatwo, jaką przypisywał zabiegom swym zasługę.

Wtem Islam Gerej pierwszy powinszował królowi Radziwiłłowskiemu na Litwie zwycięstwa... i wiadomość ta nieco uspokoiła umysły, bo tłómaczyła powolność Kozaków.

Raziło tylko, iż do Hana słano podarki kosztowne i kiesy złota pełne...

Nareszcie... Chmiel, pełen skruchy, do króla przyszedł, na kolona przed nim upadł, majestat chciał przebłagać, wierność przysięgał.

— Czegóż wy więcej chcecie! — wołali wielce z pokoju uradowani. — Zbaraż uwolniony od obłężenia, Kozactwo zaciągnięte w służbę naszą...

Jowialści odpowiadali:

— Czekaćcie aż się medal na drugą stronę obróci...

Wtem ze Zbaraża przyniesiono, iż Kozacy wprawdzie ustąpić się obowiązali, ale szczodry Ossoliński za to im także podarek przyrzekł. Zamknięci jeszcze w okopach bohaterowie, krzyknęli jednym głosem:

— Ginać lepiej! Bodajęście tego nie doczekali, abyśmy my, krwią się naszą okupiwszy, pieniądźmi jeszcze chłopstwu wypraszać się mieli! Przyrzekliście im: płaciecie sami; nie damy złamanego szeląga!

Wybuchnęli wszyscy na Ossolińskiego i poszła po wojsku sromotna gadka: „W Zbarażu dziesięciu Tatarów pierzechało przed jednym Polakiem, w Zborowie Polaków dziesięciu uciekało przed jednym Tatarzynem!”

Tryumf polityki Ossolińskiego i króla zaczynał się już w pohańbienie obracać. Król jeszcze się z dobrą myślą trzymał, bo mu jej kanclerz dodawał; i tak, zwycięzko napozór, ale z niepokojem w duszy wyruszono pod Gliniany, a z Glinian do Lwowa.

Jan Kazimierz dosyć skromnie i cicho wszedł do ruskiej stolicy. W wojsku szemrano i naśmiewano się potrosze.

W parę dni potem biegały po mieście chciwie przepisywane paskwillusze.

„Wesoły nam dziś dzień nastał! Pokój się nam narodził!”

„Radujcie się narodowie polski, litewski i ruski. Zwycięstwo okrutne na papierze... Oświecony

książę kanclerz ojczyznę uratował, sławne traktaty przypieczętował. Cześć mu i sława!

„Punkta traktatu z Tatarami:

„Między Islam Gerejem Hanem Tatarskim i następcami jego a Królem Polskim i następcami jego, szczerzy pokój i przyjaźń zachowaną będzie na wieki.

„Król JMości Polski Hanowi JMości corok haracz płacić ma w Kamieńcu, a Han, gdy mu się spodoba świeżego zażyć powietrza, pojedzie do Warszawy komedyi na zamku assystować.

„Czambuły, ekursye, rabunki ludzi i bydła. jeżeliby się jakie przytrafiły, król polski na to zważać niema, ani się nie skarżyć i przyjaźni to wzajemnej psować nie będzie.

„Tatarskie wojska od Zbaraża i granic Rzeczypospolitej wyjdą, gdy się im spodoba, a choćby po drodze excessa jakie popełniły, wojska Rzeczypospolitej za to prosekować ich nie mają prawa.

„Tatarowie Krymscy, Natajskie, Pemrućkie, Budziackie, Petyhorskie, Czyrkaskie, Wołoskie, Multańskie, Siedmiogrodzkie, Tureckie, Rumelskie pułki i ordy—i inni narodowie—swobodnie w Polsce gospodarzyć i pładrować będą bez przeszkody.

„Za supliką Hana JMości Wojsko Zaporoskie królowi polskiemu urazy swe, pretensye, poniesione krzywdy przebacza i w niepamięć puścić przyrzeka.”

„Punkta traktatu z Kozakami:

„Wszystkie starodawne wolności Wojska Zaporoskiego Król Polski na nowo korroboruje i dyplomem stwierdza.

„Komput Wojska Zaporoskiego ma być czterdzięci tysięcy, ale w registra wnikać i liczby słuchać nikt ich nie ma prawa.

„Zaciągi sobie panowie Kozacy swobodnie czynić mogą z miast, miasteczek, wsiów i slobód, w dobrach królewskich, a w szlacheckich, choćby poddanych buntowali i zaciągi potajemnie robili, przez szpary patrzeć się będzie.

„Hybern, stanowisk, kontrybucyi żołnierskich, w miastach i dobrach dla Kozaków ordynowanych, Rzeczpospolita nie będzie się ważyć swemu wojsku naznaczać...”

„Godności i urzędy w województwach Kijowskim, Braclawskim Czernihowskim, nikomu innemu oddawane nie będą, krom błahoczystych ludzi.

„Kozactwo, choćby dziesięć i więcej razy zdradziło, bezkarnie się mu to dopuści—i karać nie będzie.”

Takie i gorsze skrypta codzien podrzucano Ossolińskiemu, a i król je w swoich pokojach znajdował; raz nawet do kieszeni w sukni rękę włożywszy, paskwillusz z niej dobył na kanclerza haniebny, który, nie dając po sobie znać, na kominku spalił.

Ale nie zbywało i na pochlebca, którzy, tak Ossolińskiemu, jak Janowi Kazimierzowi, za Traktaty Zborowskie dziękowali, zowiąc je zbawieniem Rzeczypospolitej.

Do chwilowego pozyskania serc u szlachty przyczyniła się i jedna okoliczność blaha, ale może skuteczniej działająca, niż najdzielniejsze walki i zwycięstwa.

Król od dzieciństwa swojego zawsze ponieciecku, poszwedzku, słowem europejską modą się nosił, a kontusza i żupana, jako żyw, nigdy nie wkładał i nie znał. Czy mu kto myśl tę podał, czy sam on na nią wpadł—potajemnie kazał sobie we Lwowie kilkoro sukni przysposobić, dosyć bogatych i pięknych, aż jednego dnia, przebrawszy się popolsku, do kościoła pojechał.

Omało to tumultu w mieście nie wznieciło, bo ci, co widzieli oczom wierzyć nie chcieli, ci co rozpowiadali, wysmiani byli, a ciekawych tłumy biegły tego polskiego króla oglądać, chociaż w gromadach słysząc było mrużących:

— Suknię włożyć łatwo, ale ducha wdziac bodaj potrafi!

Nie zbywało i na tych, co się naśmiewali, powiadając: Za serce nas chce wziąć, ale w dziecinniej sposób.

Z tem wszystkiem w ostatnich dniach pobytu we Lwowie, właśnie gdy zpod Zbaraża regimentarze poczęli przybywać, bo Chmielnicki naresz-

cie odstąpił; gdy się poczęło rozdawanie nagród zasłużonym, zjawił się ten kontusz na królu.

Powracających z okopów zbarazkich siła przynosiła z sobą żal srogi i przeciw pospolitemu ruszeniu i do króla i do Ossolińskiego; a powiększył się on tem, że nagrody zasłużonym poszły, nie wedle miary ich cnoty, ale podług rady dworaków i przyjaciół.

Pokrzywdzono w rozdawnictwie najdzielniejszego bohatera Jeremiego; o innych wcale zapomniano.

Codzien prawie na ulicach Lwowa spotykać było można wozy, na których po kilku wynędzniałych, poobwiązywanych, zbiedzonych Zbarażan wjeżdżało cicho i bez tryumfalnych łuków, a nikt ich nie witał. Sami oni gorzko się losowi swemu uśmiechali i z doli swej drwili, ale co poczciwsze rycerstwo otaczało się czcią wielką. Cisnęli się do nich wszyscy chciwi opowiadać o tej tragedji, o której, jako o Wojnie Trojańskiej, poemata śpiewać było można.

Strzębosz, który w oddziale Koniecpolskiego i przy osobie jego miał przyjaciela i powinowatego, onego sławnego jowialistę Stanisława Xięzkiego, z wielką radością się dowiedział, że wojak ranny mocno, acz nie niebezpiecznie, właśnie do Lwowa przybył i w starym dworze pod Bernardynami, razem z innymi kilku Zbarażanami, spoczywał.

Zaledwie do niego nakazał Staszek. (tak go, choć już siwiał, nazywano), gdy Dyzma, wzięwszy pozwolenie od marszałka dworu, pośpieszył do niego...

Domowstwo, w którym się Zbarażanie miescili, wcale się nie zalecało, ani powierzchownością, ani wewnętrznym urządzeniem wygodnem. Lwów tak naówczas pełen był, iż w Rynku i na targach koczowały czeladzie, a panowie nawet niektórzy część dworu musieli mieścić pod namiotami. Ze starego walącego się, drewnianego budynku, który dawniej gospodą lichą być musiał, wygnano naprzód gospodarzy, nim się parę izb dla rannych opróżnić dało.

Xięzki z innymi zajmował ogromną, od wieków zakopconą dymem izbę z małemi oknami, w której pod ścianą jedną nasłano siana, okryto je wojłokami, i po żołniersku się tu rozgospodarowali biedacy, którym po Zbarażu ten barłóg jeszcze smakował, jako najwykwintniejsze pałace.

Było ich tu trzech porąbanych: Staszek Xięzki, Maciej Brodowski i Sylwester Gnoiński, ale starczyło miejsca dla wszystkich i na sakwy, siodła, rzędy, a zbroje, i oręż, który całe kąty zalegał. Na ogromnym kominie czeladź tuż jedzenie i plasty odgrzewała. Leżącym na ziemi ławy za stoły służyć musiały.

Strach było spojrzeć na tych wesółych wojaków, którzy do trupów podobniejsi byli, niż do żywych ludzi, tak wymęczeni, znędzniali, wyszli z tej łaźni.

Nie przeszkadzało im to śmiać się i drwić, a izba, od rana ciekawych pełna, śmiechami się rozlegała, Xięzki osobiście dokazywał.

Właśnie, gdy wszedł Strzębosz, znalazł w żywą rozmowę ze Staszkiem wplątanego towarzysza ze Zborowa, z orszaku Ossolińskiego, który, oczywiście, pana swojego stronę biorąc, bronił cześć króla i tych, co pod Zborowem byli.

Był to niejaki Zboiński, *simplex servus Dei*, ale żołnierz dzielny, i człowiek zany.

Zaledwie się ze Strzęboszem przywitawszy, Xięzki, który był, choć już nie młody, ale siarczystego temperamentu. Dyzmie kazał usiąść na ławie i dalej się ze Zboińskim na swój sposób ucierał.

— Zboju mój — wołał cieniuchnym zachrypłym głosem — cóż-bo ty sobie myślisz, że ja nasze zasługi we Zbarażu zapieczętowanych i ogłodzonych ciurów wyżej wynoszę niż wasze! Mylisz się. Co my dokazali? Jedliśmy końskie mięso, szczury, koty, piliśmy wodę śmierdzącą zpod trupów, nie spali, głodem marli, aleśmy tyle tylko, że honor ocalili: a król z Ossolińskim przyszedł pod Zborów, wziął w skórę, i nazajutrz ogłosił się zwycięzcą, Tatarów zapłaciwszy?! Alboż to nie dobra sztuka? Każdy ojczyźnie słu-

ży, jako może: jeden krew i życie daje, drugi chytrność swą i żydowski rozum!

Zboiński się zżymał.

— Ale ja bo zbarazkim bohaterom nie ujmuję — wołał.

— A my, jak nam Bóg miły—odparł Xięzki—my nie pretendujemy od was nic, tylko żebyście nas przynajmniej na równej stopie z sobą stawić raczyli! Za sobą, com ranny, nie mówię; sam winien jestem, bom po nocy wlaź między Kozaków i kilku ich wyprawiłem na tamten świat dowiedzieć się u Ś-go Piotra, czy blahoczystych do nieba puszczają, a w końcu mn'e jeden płatał też, za co go Brodowski usmiercił: mam za swoje; ale mi żal tych dobrych towarzyszy, co ze Zbaraża już nie powrócą. Takiego Trzebińskiego, porucznika p. Myszkowskiego, który bił się jak lew, a czasu bitwy śpiewał, aż nam duch rosnał słuchając, i takiego Jagielnickiego; chorążego p. Zbrozka, który z Kozakami porusku rozmawiał się aż miło słuchać było; takiego przepocziwego Bernacha, kapelana naszego, Ząbkowskiego, którego kula działała przy mszy świętej właśnie po komunii, gdy się ku nam obracał, na tamten świat z czystą duszą wyprawiła, takiego Sierakowskiego, pisarza polnego, Silnickiego, Zbrozka, Starostę Przasnyskiego,—którzy miłość swą dla Rzeczypospolitej żywotem poświęcili.

Zmieszany Zboiński chciał protestować, ale Xięzki, rozgorączkowany, nie dał mu mówić.

— Przybywamy do Lwowa, rozbitki nieszczęsne, a tu trąbią sławę kanclerza i króla, że tryumf odnieśli wielki, że ojczyznę zbawili, nam zaś, Zbarażanom, ledwie dopuszczają się przypomnieć, żeśmy też coś uczynili... i czegoś warcili.

— Miły panie wuju — przerwał Strzębosz — nie przypisujcież znowu ani królowi ani nam, cośmy z nim byli, abyśmy sobie zawiele przyznawali. Wście się bili jak lwy, i trzymaliście się dłużej; nikt wam tego nie odejmuje.

— W końcu — rozśmiał się Staszek Xięzki — Kanclerz nam jeszcze nakazał, abyśmy kochanym Kozakom za to, że nas nie zjedzą—zapłacili! Trzeba było widzieć i słyszeć, jak to u nas w obozie przyjęto, a nie życzylibym był panu kanclerzowi podczas między nami się znajdować!

Uspokoilo się jakoś po chwili, a Xięzki poswojemu żarty sobie stroić zaczął. Dostało się i Strzęboszowi, który się staremu odcinać nie myślał, ale króla obraniał.

— Król! — przerwał mu Xięzki — my starsi go dawno znamy. Choć szablę przypasał, żołnierza z niego ona nie robi, a kontusz go Polakiem nie uczyni. Pobożny pan, ani słowa, ale będzie tak szedł, jak go poprowadzą.

Dyzma, Zbaraża ciekawy, rozpytywał począł Xięzkiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LISTY Z ZAGRANICY.

J. I. Kraszewskiego.

Niepodobna nie korzystać ze zręczności, gdy pobyt i stosunki następują sposobność bliższego i lepszego poznania Włoch, które z małym wyjątkiem Europie zbliżka nie są znane. Wiek nasz ma to do siebie, że hołduje cynicznie sile, a tam gdzie jej nie widzi lub w nią nie wierzy, żadna praca, walka, trud, który gotuje przyszłość, nie obchodzi go wiele. Od czasu, gdy pod szczęśliwą gwiazdą zjednoczone Włochy przestały być wyrażeniem geograficznym, a stały się państwem, przyszłość mając przed sobą wielką i świetną, gdy raz Cavour, Garibaldi i Wiktor Emmanuel dokonali wielkiego dzieła, kraj ten, którego odrodzenie obudzało żywe zajęcie, przestał dla Europy być ciekawym, zubożniano dla niego. Na losy świata, przynajmniej do czasu, wpływać nie będzie. Milczy się wogóle o tem wszystkim, co się tu dokonywa i lekceważy ogromną pracę, jaką odmłodzone Włochy już

spełnili, mając niezmiernie zadanie stworzenia z obłamków całości jednolitej i silnej.

Ponieważ dotąd, ani współzawodnictwo Włoch nikomu nie jest groźnym, ani siła ich naze-wnątrz zaczepnie występować obiecuje, a pra-ca ogranicza się na wewnętrznej, cichej, powolnej reorganizacji, Europa więc obojętną na nie pa-trzy okiem. Tymczasem, można powiedzieć śmia-ło, że się tu dokonywają ciągle znakomite refor-my, że się na trwałych posadach zakłada przy-szłość, a obliczywszy, co od śmierci Cavoura już wykonano, z podziwieniem i poszanowaniem na kraj ten patrzeć należy.

Wszystko to przychodzi powoli, nie otrąbywa-ne i nie sławione, jako skutek trudów i ofiar wy-trwałych. Konflikt ze Stolicą Apostolską, któ-ry ku Włochom zniechęcił pół świata, przyczy-nia się także do nieprzyjaźni i lekceważenia. Z obu stron z pewnością pożądanym jest porozu-mienie się i jakiś *modus vivendi*, ale z obu też stron stoi nieubłagane *non possumus*, które ma-lu je doskonale pojęcie położenia przez Piusa IX. Nie powiedział on: *non volumus*, bo porozumienia i pojedynania tak pragnął, jak Wiktor Emmanuel, ale smutnie i boleściwie wyrzekł: *non possumus*, które długo jeszcze stać będzie panując stosun-kiem władzy świeckiej i duchownej. Różnica tych dwu wyrażen najlepiej maluje położenie obecne.

Nic, zaiste, ciekawszem-by być nie mogło nad sprawozdanie krytyczne z tego, co Włochy już uczyniły, co zaczęły i co w programacie ich stoi. Począwszy od reorganizacji wojska, od stworze-nia już potężnej marynarki, mającej olbrzymią przyszłość przed sobą, aż do reformy wychowa-nia, wewnętrznej administracji i finansów, wszyst-ko tu z gruzów wznosić i stwarzać było potrze-ba. Jakkolwiek Włosi mają to w swym tempera-mencie, że głośno mówią i mimiką dopełniają słowo, jakkolwiek możnaby sądzić, że tempera-ment i w życiu ich publicznym się objawia, rzeczy-wistość jednak kłamzadaje temu sądowi, gdyż by-łoby się czem chwalić, gdyby chciano: a martwa ci-sza otacza Włochy, mało co znane bliżej światu i niepragnące dać się poznać. Inne, bardziej pociągające widowiska odwracają wejrzenia od Włoch i uwagę, chociaż wieleby się tu nauczyć można.

Wiadomo powszechnie, w jakim stanie po wie-kach rozdziału i najrozmaitszych rządów, wzięła dziś panująca dynastia kraj rozległy, jednym tylko językiem i wiarą idealnie z sobą połączony. Małe księztwa, królestwa, prowincje powydzie-lane, z wpływem czasów i pod naciskiem najroz-maitszych stosunków przybrały też charakter odrębne i Włochy, jakimi je znalazło zjednocze-nie, stanowiły aglomerat, materiał tylko do stwo-rzenia z nich Królestwa Włoskiego. Zważywszy, że w celu tym zjednoczenia, w każdej prowincyi niemal innych środków używać przyszło i uwzględ-nić stan, w jakim się ona znajdowała, można sobie wystawić, jak ciężkie zadanie przypadło Dynastyi Sabaudzkiej i ludziom, których ona do wielkiego dzieła użyć musiała. Bądźco bądź pomimo zarzutów wielu, jakie rządowi włoskie-mu czynią jego nieprzyjaciele, powiedzieć można wogóle, że znaleźli się ludzie stojący na wyso-kości zadania, jakie na nich spadało.

Nie może być rzeczą naszą wykazywać, jak już uczyniono wiele na drodze połączenia i odrodze-nia, lecz chcieliśmy zaznaczyć przynajmniej, jak-że wrażenie czynią dziś te Włochy nowe, gdy się im bliżej przypatrzeć. Niema może żadnej bieżącej kwestyi, żadnej reformy w duchu wieku którejby tu nie podjęto i nie starano się roz-wiązać.

Działania rządu równie są rozliczne i troskli-we, jak osób prywatnych i gmin a stowarzyszeń. W sprawach wychowania, szkół elementarnych opieki nad ludem, widzimy kobiety występujące czynnie i poświęcające się moralnemu dźwignię-ciu najbiedniejszych.

Szczególne położenie i wyposażenie przez na-turę kraju tego utrudnia niemało reformę i po-stęp na drodze pracy, naprzykład, około roli i w wielu przemysłu gałęziach, który brak wa-runków rozwijania się. Ogromne przestrzenie nie nadają się wcale do rolnictwa, niedostatek węgla kopalnego jest prawdziwą klęską dla prze-

mysłu i t. p. Trzeba więc życie budzić gdzie-indziej i inaczej, aby to, na którym zbywa, za-stąpić. Bliżej się przypatrując działalności na-rodu wogóle, z poszanowaniem potrzeba uznać, że Włochy nie są pozbawione sił odradzających i że smutne proroctwa, jakimi nieprzyjaciele ich przyszłość radziby zachmurzyć, nie mają żadnej podstawy.

Dla nas pogląd na literaturę jest najlepszym *criterium* żywota wogóle. W dzisiejszym stadyum jej rozwoju, widzimy nadzwyczaj praktycznie i rozumnie rozpoczętą pracę od połączenia się na-przód z ogólnym ruchem europejskim. Ogromnie wiele tłómaczyło się i tłómaczy we Włoszech a wydania tych rzeczy, które przeznaczono do upopularyzowania, są bardzo tanie, chociaż po-wierzchność ich nie do życzenia nie zostawia. Nie pochwalamy tego, że tysiącami rozchodzą się tłómaczone romanse francuzkie, ale obok nich wszystkie dzieła naukowo popularne, przyswaja-ne są bez zwłoki.

Wraz z mnogimi przekładami widzimy z rów-ną troskliwością massami wykonywane przedru-ki dawnej literatury włoskiej, do bajecznej tani-ści doprowadzone. Klasyków najboższy czło-wiek mieć może w wydaniach poprawnych, i na cenę swą, nader wdzięcznie wyglądających.

Ogniskiem jeżeli nie żywota literackiego to działalności księgarskiej, jest Medyolan. Wy-chodzi wiele książek w Rzymie, Florencyi, a na-wet Neapolu, ale pisma ilustrowane, romanse, wydawnictwa popularne przeważnie się ukazują w Medyolanie, a jest ich obfitość wielka.

Na czele niezliczonych przeglądów (Rivista), mniej więcej charakter specjalny mających lub wogóle literackich, stoi niezaprzeczenie „Nuova Antologia“, przegląd naukowy literatury i sztuki ukazujący się dwa razy na miesiąc i przypomi-nający fizjognomią „R. des deux Mondes.“ Wszyscy niemal cenniejsi pisarze włoscy współcześni są jej współpracownikami. Nie ogranicza się ona samymi przedmiotami włoskimi i daje wiado-mości o wszystkim, co ludzi wykształconych obchodzić może, jednakże głównie kraj własny ją zajmuje, i jemu poświęca znacznieszą część miejsca swojego. Ażebyśmy o treści jej dali wy-obrazienie, spiszemy treść ostatnią dwu zeszytów Lutowych. Zawierają one: „Bohatera chrze-ścijanka za panowania Marka Aureliusza i odkrycie jej grobu (Marucchi). — Mała własność i kredyt agraryjny (Ferrari). — Zbiór listów Gino Capponi (Lampertico) — Amilkar — Pon-chielli (przez d'Arais). — Diabolina, powieść przez Bersezio. — Banki emisyjne we Włoszech (Luzzatti). — Wspomnienia o Alexandrze Tor-lonii (bardzo zajmujące, przez Filvagai). — Petrarkiści i antipetrarkiści w piętnastym wieku (przez Grafa). — Lasy i malaria rzymska (A. Bru-niax). — Finansowy stan Włoch w Styczniu 1886 r. Oprócz tego sprawozdania muzyczne, ar-tystyczne, polityczne i t. p., dopełniają bogatej treści pisma, wielce poważnego i poważanego. Jest też ono w swoim rodzaju największym i naj-więcej czytaniem. Jak dalece zaniedbaną u nas jest literatura włoska, dowodzi to, że jednej może z najzdolniejszych kobiet piszących, w li-teraturze europejskiej całej, imię pani Matyldy Seroa, jest u nas zupełnie nieznanem, chociaż wydała już z górą dziesiątek tomów, które wszystkie po kilka edycyi miały i są wyczerpa-ne. Pani Seroa celuje w nowelkach niewielkich rozmiarów, ale i dłuższe jej opowiadania zale-cają się świeżością, życiem, plastycznością obra-zów, wielką znajomością serca ludzkiego, a wię-kszą jeszcze umiejętnością artystycznego malo-wania; najmniejszy odcinek jej jest wykończoną zaokrągloną, doskonałą w sobie całością. Praw-dziwie niewieścia delikatność dotknięcia, zna-mionuje jej utwory, ale w potrzebie nie zbywa na rysach silnych, na śmiałych, z natury pochwy-onych barwach. Potrosze jest pani Seroa real-istką, ale nie walczy o lepszą z Zolą, chociaż napisała „Brzech Neapolu.“ Styl jej i sposób ma-lowania są wielce oryginalne.

Nie zapuszcza się w drobnostkowe opisy, ale nie pomija żadnej zręczności do stworzenia obraz-ku, który wywoływać umie z pomocą tylko kilku rysów charakterystycznych. Ciągłą one za sobą

nawet w najleniwszej wyobraźni cały szereg szczegółów koniecznych, dopełniających, tak, że często para wyrazów starczy za mniej zręcznego pisarza stronicę. Nie będziemy się tym razem rozpisywać obszerniej o pani Seroa, gdyż chce-my jej powieściom poświęcić osobne studyum, na które zasługują. Radzibyśmy wszakże, aby kto podjął na próbę przełożyć choćby jedną. Zaleci-libyśmy w takim razie — *La conquista di Roma*, (Zdobycie Rzymu); nie tylko poznalibyśmy całe niepospolitego talentu autorkę, ale ten świat włoski, który począwszy od dołu do najwyższych szczytów zupełnie się różni od innych, mianowicie od francuzkiego. Społeczeństwo to *sui generis* które z wielu względów obudzić może sympatją i zasługuje na poszanowanie. Inaczej się tu no-szą stare imiona, inaczej szanuje wspomnienia przeszłości, pojęcia obowiązków często są różne od naszych — ale nadewszystko zdumiewać się potrzeba powadze, zimnej krwi i spokojności, z jakimi Włoch zubożały znosi swe położenie, ubóstwo, często niedostatek, wcale się nań nie skarżąc. Ile razy obowiązki towarzyskie wyma-gają od niego wystąpienia z pewną okazałością dawny splendor domu przypominającą, znajdują się na to środki — a tylko wtajemniczeni widzieć będą, jakimi ofiarami okupuje się utrzymanie na stopie przodków.

Dzienniki i dzienniczki muszą w tem życiu Włoch grać pewną rolę i nie być pozbawione wpływu, gdyż liczba ich jest bardzo wielka, a lo-kalnych małych gazetek codziennych i tygodnio-wych, nie zliczyć. Niewielka ich liczba coś wy-dawcom przynosić może, znaczniejsza część nie opłaca się pewnie żadną materyjalną korzyścią, przeciwnie, wymaga ofiar — ale z drugiej strony działają one, mogą wywrzeć nacisk, służyć inte-ressom pewnych grup, gdyż mimo szczupłej liczy-by abonentów utrzymują się przy życiu. Swobo-da w nich wielka, poszanowanie osób małe, nie-kiedy widoczna chęć nastraszania...

Kilka znaczniejszych dzienników ukazujących się w Rzymie i Medyolanie, co do interesów kraju są i dobrze informowane i redagowane ze starannością wzorową; — ale polityka i wiadomo-ci pozakrajowe, szczupłe w nich zajmują miejsce, jak tylko spraw własnych nie dotykają zblizka. Telegramy z zagranicy, wyjąwszy wypadki szczególne, są krótkie i w liczbie niewielkiej. Z gazet też włoskich, jak z francuzkich, o tem, co się na szerokim świecie dzieje, trudno się do-wiedzieć dokładnie. Ze wszystkiego, cośmy tu po-wiedzieli, domyślić się łatwo, iż życie w tym kraju nowo-stworzonym, całe się zbiega do środka, i gromadzi siły dla utrwalenia bytu własnego potrzebne. Do czynienia wiele bardzo pozo-stało, a stan terażniejszy dalekim jest od tego, jaki był celem patriotów. Pomimo miłości, któ-rą sobie zdobyła panująca dynastia, pomimo licz-nych dowodów przywiązania do niej i zaspakaja-nia się tym rządem parlamentarnym, jaki tu w ży-cie został wprowadzony — nie można zataić, że marzenia republikańskie, że zachcianki rewolu-cyjne — pozostałości owego dawnego żywota spi-sków i przysiężeń — dziś jeszcze ciało narodu nurtują i część sił jego napróżno odrywają.

Wieki podziału i surowego nadzoru nie mogły nie zostawić niedobrych osadów po sobie. Wal-ka, acz znacznie złagodzona, ze Stolicą Apostol-ską przyczynia się także do utrzymania pewnego rozdrażnienia i pochłania ludzi, którzy na polu pracy użytecznymi-by być mogli. Wprawdzie ci, co wierni tradycjom stali przy Watykanie, nie chcą znać króla i Królestwa Włoskiego — zwolna, nieznacznie przechodzą do obozu Humberta, nie zrywając z Ojcem Ś., ale takie siedzenie na dwu stołkach — nie wszystkim się udaje. Od śmierci Piusa IX wiele się rzeczy, pojęć zmieniło. Jego *non possumus*, — inne dzisiaj ma znaczenie. Nikt nie może wymagać od Ojca Ś., aby praw, które pieczy Jego powierzono były, wyrzekł się; życie w jednej stolicy dwóch władz, które zdało się niemożliwym, — okazuje się znośnym i wyrabia sobie pewne drogi. Ze strony króla, królowej, dworu — nie może się też Watykan skarżyć na lekceważenie, na prześladowanie. W przyszłości przewidzieć można takie ukształtowanie się życia, iż jeden drugiemu na drodze stawać nie będzie.

Wprzód, niż teoria, wyrobi się tu praktyka stonków, i ona też nad nimi zapanuje.

Na zakończenie rzućmy jeszcze okiem na najświeższe wydawnictwa jednej z najczynniejszych księgarń, Le Monnier we Florencji. Wspomniane wyżej listy Gino Capponi i do niego pisane, zebrane i ogłoszone przez Ale. Carraresi, doszły do czwartego tomu. Wysoko cenione są studia dramatyczne i listy autobiograficzne Ernesta Rossi, które się ukazały z przedmową niezmordowanego Angelo de Gubernatis. Oprócz tego poezye łacińskie i włoskie Franc. Berni (wydanie nowe) i poezye Maryi Ricci zapisać także potrzeba.

Le Monnier wydaje bibliotekę narodową tanią, w której d'Azeglia „Niccolo de Lapi“ kosztuje niespełna dwa franki. On też jest nakładcą znakomitego dzieła, które w historii sztuki stanowi zwrot nowy, pp. Cavalcasselle i Crowe, która od II do XVI w. ma być doprowadzona. Tej historii wyszedł tom trzeci, zawierający Sienę w wieku XIV. Biblioteka dla młodzieży, dyamentowa, zbyt kłopotliwa—z bogactwami w tym roku to mami kilku. Pod dyrekcją profesora Franc. Sabatini wychodząca encyklopedia popularna ilustrowana, Edw. Perino w Rzymie, wedle najlepszych i najnowszych źródeł skompilowana, nie mniej od osmiu tysięcy ilustracji mająca objąć, zaczęła się ukazywać i ma powodzenie. Zeszły jej kosztuje 5 centów, a sześćdziesiąt ich tom stanowią. Widzimy, że i tak znacznych nakładów we Włoszech nie wahają się przedsięwziąć, ci co znają swój naród i na jego miłość oświaty rachują.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Słońce i przestwór.

Słońce źródłem światła, ciepła i działań chemicznych.—Ile świec jarzących dorównywałoby blaskowi słońca?—Porównawcze zestawienie siły światła słonecznego.—Trzy źródła dostarczające ciepła ziemi.—Jaką ilość ciepła ziemia od słońca odbiera?—Ciepło słoneczne mogłoby dziennie stopić warstwę lodu otaczającą słońce, grubą na 17 kilometrów.—Jaką ilość pracy wytworzyć mogłoby ciepło słoneczne?—Przyczyna wytworu prądów powietrznych.—Związki i rozkłady chemiczne.—Wpływ słońca na życie roślin i zwierząt.—Światło rodzicielką barw i woni.—Wszelki ruch ziemski, każda szarża kawaleryi, jest wytworem siły mechanicznej słońca.—Jaką ilość siły słonecznej ziemia pochłania?—Odległość słońca od ziemi.—Szybkość światła, kuli armatniej, głosu.—325,000 kul ziemskich równoważą dopiero jedno słońce.—Gęstość i objętość słońca.—Przeczny ruch jego.—„Ciemności“ Byrona—Czy słońce jest zamieszkanem i czy być może w przyszłości?—Zniszczenie życia z zanikiem wibracji słonecznych.

(Dalszy ciąg).

O tej przerażającej ogromem ilości ciepła Pouillet wyraża się w ten sposób porównawczo: „Gdyby cała ilość ciepła, wysyłana przez słońce, była wyłącznie zużytkowaną do stopienia warstwy lodu, którą dokoła otaczała kulę słoneczną, to ta ilość byłaby zdolną stopić w ciągu jednej minuty warstwę lodu grubości 11,8 metrów (prawie 41 stóp polskich) a w ciągu dnia warstwę grubą na 17 kilometrów (przeszło 2½ mil polskich).“ Tażsama ilość ciepła — powiada Tyndall — doprowadziłaby w ciągu godziny do wrzenia 2,900,000,000 kilometrów sześciennych wody, posiadającej temperaturę lodu. Innemi słowy: ciepło wysłane przez słońce w jednej godzinie, wyrównywałoby temu, jakiego wytworzyła warstwa węgla grubości 27 kilometrów.

John Herschel podaje następne porównanie, okazujące kolosalny zasób ciepła w ognisku słonecznym, z którego ziemia czerpie tylko 1/2.150.000.000 cząstkę.

„Wyobraźmy sobie — powiada on — że słupek lodu w kształcie walca, 18 mil francuzkich mający średnicę, rzuca się bezustannie w słońce, i że woda z niego otrzymana natychmiast zmieniona zostaje w parę. Otóż chcąc, aby cała ilość ciepła słonecznego zużytkowaną została do stopienia tego lodu, bez żadnego ubytku w promieniowaniu, potrzebaby wrzucać w słońce ów walec lodowy

z szybkością światła. Innemi słowy, ciepło słoneczne mogłoby, nie doznając widocznej straty, stopić w ciągu jednej sekundy słupek lodu mający 4,120 kilometrów kwadratowych w podstawie a 710.000 kilometrów wysokości.

Jednym z najdonioślejszych odkryć wiedzy nowożytnej, jest niezaprzeczenie możliwość przetwarzania się ciepła w pracę mechaniczną i tejże pracy w ciepło, czyli odkrycie równoważnika pracy mechanicznej. Ilość ciepła, która pozyskała nazwę jednostki cieplikowej, jest, jak wiadomo, tą, jakiej potrzeba do podniesienia o jeden stopień temperatury jednego kilogramu wody. Z drugiej strony, nadano nazwę kilogramometra pracy zużytej do podniesienia do wysokości jednego metra ciężaru jednego kilogramu w upływie jednej sekundy. Pozostawało do rozwiązania zagadnienie oznaczenia: ile kosztem jednej jednostki cieplikowej, przetworzonej w pracę mechaniczną, można wydać kilogramometrów, lub odwrotnie, jaka wytworzy się ilość ciepła kosztem danej liczby kilogramometrów? Ztąd też nadano tej liczbie nazwę równoważnika mechanicznego ciepła.

Pozналиśmy wyżej siłę cieplikową słońca, wyrażoną w jednostkach cieplikowych, i ciężar wody, jaką to ciepło doprowadza do wrzenia; wykazaliśmy jaką warstwę lodu stopić może słońce w ciągu jednego dnia, tak na swej powierzchni, jak i na powierzchni ziemi: obecnie możemy oznaczyć siłę mechaniczną tego kolosalnego ogniska, oszacować sumę sił, jakie mogłoby wytworzyć na ziemi to ciepło słoneczne, gdyby w całości zmieniło się w pracę.

W ciągu jednego roku każdy metr kwadratowy powierzchni ziemi otrzymuje 2,318,157 jednostek cieplikowych, to jest przeszło 23 miliardy takichże jednostek odbiera jeden hektar czyli 9,852,200,000,000 kilogramometrów. Otóż promieniowanie cieplikowe słońca, operujące na powierzchni jednego hektara, wywiera siłę równoważną pracy ciągłej 4,163 koni parowych. Na całej zatem powierzchni kuli ziemskiej, pracę tę reprezentuje 510 sextylionów kilogramometrów, czyli 217,316,000,000,000 koni parowych!

Promieniowanie więc słoneczne wywiera na naszej planecie siłę taką, jakąbyśmy mogli pozyskać z 543 miliardów machin, każdej o sile 400 koni parowych, pracujących bezustanku w dzień i w nocy.

Część tej siły posługuje do ogrzewania skorupy ziemskiej do pewnej głębokości i utrzymuje równowagę w temperaturze naszej planety. Część przetwarza się w ruchy molekularne, w akcje i reakcje chemiczne, będące źródłem, z którego czerpie nieustannie życie zwierzęce i roślinne. W rezultacie więc ciepło wszelakiego jestestwa ziemskiego pochodzi z ogniska słonecznego. Jesteśmy przeto dziećmi słońca. Wreszcie promieniowanie cieplikowe przyczynia się do produkcji wielu zjawisk dostrzegalnych ruchu na ziemi, w wodach i w powietrzu.

Możemy z łatwością to unacocnić.

Jaka bowiem przyczyna jest prądów powietrznych, owych ruchów peryodycznych i nieperyodycznych, atmosfery? Przyczyną tą jest ciepło słoneczne, które ogrzewa zwolna warstwy atmosferyczne, w strefach zaś zwrotnikowych, padając prostopadle na ziemię, podwyższa temperaturę silniej, niż w innych szerokościach geograficznych.

Najniższe warstwy powietrzne w zetknięciu się z ziemią ogrzewają się, rozszerzają i w ten sposób powietrze rozrzedzone, je składające, unosi się w górę i przelewa na północ i południe, ku szerokościom więcej na północ wysuniętym, a miejsce tych warstw zastępują masy powietrza zimniejszego, pochodzącego ze stref umiarkowanych i biegunowych. W ten sposób powstają wiatry peryodyczne zwane alizejskimi, których kierunek zresztą ulega zmianom wskutek ruchu obrotowego ziemi. Dwie rzeki powietrzne płyną w ten sposób nieustannie na każdej półkuli ziemskiej, od równika ku biegunom. Jedna, górna, zwraca się w kierunku północno-wschodnim na półkuli północnej, a w kierunku południowo-wschodnim na półkuli południowej; — druga dolna, płynie na obu półkulach w kierunkach odwrotnych. W taki sposób powstają główne wiatry

w naszej atmosferze, ulegające odpowiednim zmianom, wskutek niejednostajnego położenia łądów i wód. Wiatry podrzędniejszego znaczenia powstają pod wpływem miejscowym ciepła, zimna i parowania. W dolinach alpejskich wieją wiatry wytworzone z ogrzewania się powietrza i wichrzą z gwałtownością huraganów w gardzielach górskich.

Istnieją też wietrzyki łagodne, pochodzące z obecności lodowców na wyżynach. Powstają niemniej powiewy łądowe i morskie, wytworzone ze zmian zachodzących w temperaturze pobrzeży w ciągu dnia i nocy. Słońce poranne, ogrzewające ziemię, sprowadza przemianę w kierunku prostopadłym powietrza, które jest kompensowanem przez powietrze zimniejsze, płynące od morza ku łądom. Wieczorem ziemia jest więcej oziębioną, niż wody morskie; warunki przeto w temperaturze zachodzą wprost przeciwne: powietrze wówczas zimniejsze i cięższe płynie od brzegów ku morzu.

Ciepło słoneczne na powierzchni ziemi rodzi ruchy nieustanne, wielce doniosłego znaczenia. Nietylko wytwarza ono prądy powietrzne, rzeczne i morskie, ale nadto wpływa na zmiany, jakim ulega skorupa ziemska. Powolne lecz ciągłe kruszenie się skał, przerzucanie się piasku, żwiru, ziemi, — zmienia z roku na rok z wieku na wiek postać brzegów, wypukłość wzgórz i gór. Wszystkich tych przekształceń dopełnia ciepło słoneczne. Słońce, nietylko pod postacią światła i ciepła dokonywa na ziemi tylu cudownych przemian, ale nadto za jego wpływem zachodzą związki i rozkłady chemiczne. Ten sposób działalności promieniowania słonecznego uwidocznił pierwszy Scheele w 1770 roku. Uczony ten wykrył, że chlorek srebra, wystawiony na światło słoneczne, przyjmuje barwę ciemno-fioletową. Dziś już zjawisko to dokładnie zbadano i wyjaśniono; jest ono niczem innym, jak tylko rozkładem chemicznym chlorku srebra na dwa jego składowe pierwiastki: srebro metaliczne i chlor. Zresztą chlorek srebra nie jest jedynym związkiem chemicznym, redukowanym przez światło słoneczne. Azotan srebra, chlorek złota i wogóle chlorki, bromki i jodki metali mniej utleniających się, jak złoto, rtęć, srebro, platyna, również rozkładają się pod wpływem światła. Kwas azotny stężony, będący, jak wiadomo, całkiem bezbarwnym, pod wpływem długotrwałego promieniowania słonecznego, żółknie, utrając, tlen a podobne działania redukcyjne zachodzi w wielu związkach tlenowych, pozostających w tychże samych warunkach.

Wpływ promieni słonecznych okazuje niemniej następne doświadczenie. Wiadomo, jak wielkiem jest powinowactwo chloru do wodoru; mieszanina dwóch tych gazów w równej objętości wytwarza kwas chlorowodny. Dość jest zbliżyć zapałkę płonąca do otworu flaszki zawierającej te gazy, aby wywołać ich związek przy bardzo żywej eksplozyi. Otóż światło wytwarza tenże sam skutek jak ciepło, i gdy puścimy w powietrze w miejsce oświetlone balon obejmujący tę mieszaninę wybuchową, następuje gwałtowna eksplozya i naczynie zawierające ową mieszaninę zostaje zdruzgotanem w kawałki przed spadnięciem na ziemię.

Widzimy z tych faktów, że światło słoneczne, nietylko sprowadza rozkłady, ale nadto wytwarza związki chemiczne. Brom zachowuje się podobnie jak chlor, gdy wystawimy go na działanie promieni słonecznych w obecności związku wodorowego. Żywica gwajaku utlenia się w świetle słonecznym i zmienia właściwą sobie barwę białą w ciemno-błękitną.

Znanym jest każdemu z nas proces bieleńcia płótna surowego, polegający na rozpostarciu go na trawniku, na który padają promienie słoneczne. Bieleńcie to nie jest niczem innym, jak tylko powolnem utlenianiem się materii organicznej, pod wpływem promieniowania słonecznego. Na tym wpływie oparta jest sztuka fotograficzna i fotochemia.

Słońce wywiera też niepospolity wpływ na życie roślin i zwierząt.

Przed stuleciem Bonnet i Priestley wykryli, że części zielone roślin wytwarzają gaz palny

i utrzymujący oddychanie, *tlen*. Po nich Ingenhouz wyszedł, że ów tlen wywiązuje się wyłącznie tam tylko, gdzie części zielone roślin wystawione są na światło słoneczne; w ciemności bowiem wyziewają one kwas węglany. Pozostawało poznać: skąd pochodzi tlen wywiązujący się pod wpływem światła. Wykrył to Senneber i okazał, że części zielone roślin, wystawione na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, rozkładają gaz kwasu węglanego, zawarty w powietrzu, i z tego związku assymilują węgiel, przechodzący w ich tkankę, a uwalniają tlen, który w połączeniu z węglem tworzy kwas węglany.

W ciemności zaś odbywa się proces odwrotny: tlen powietrza zostaje w części pochłonięty przez roślinę, która wzamian wywiązuje kwas węglany, pochodzący z utlenienia się części węgla roślinnego.

Dzięki poszukiwaniom uczonego amerykańskiego. Drapera, wiemy dziś, że ów rozkład kwasu węglanego, dokonywany przez rośliny, następuje wyłącznie tylko pod wpływem promieni świetlnych; ani bowiem promienie ciepłkowe, ani chemiczne, nie oddziałują na wydzielanie tlenu, jakkolwiek te ostatnie odgrywają pewną rolę w żywieniu się roślin.

Światło jest rodzicielką barw i woni flory. Barwa zielona roślin jest wynikiem wyziewania przez nie tlenu, przez utlenianie się zaś tworzą się w roślinie olejki, z których następnie powstają wonie.

Doświadczenie codzienne uczy nas, jak potężny wpływ wywiera światło słoneczne na zdrowie zwierząt i człowieka. Dość jest porównać ludzi żyjących na wsi na świeżym powietrzu, których oblicza opala słońce, z tymi, którzy pędzą życie w miejscach pozbawionych światła lub w ciasnych zaułkach miast wielkich. Pomieszkania źle oświetlone, nieprzewietrzane, zimne, wilgotne, są dla tego tylko szkodliwymi, że brak im promieni słonecznych.

Zwierzęta w procesie oddychania spożywają tlen a w zamian wyziewają kwas węglany, tak w dzień jak i w nocy, jakkolwiek oddychanie nocne wydaje mniejszą ilość tego ostatniego gazu, niż oddychanie dzienne. Wypływa ząd, że zwierzęta produkują gaz potrzebny do żywienia się roślin, a te znowu wytwarzają gaz, jaki konsumują zwierzęta drogą oddychania. Niema zatem nic w tem dziwnego, że pobyt na wsi w porze rozkwitłej roślinności, wśród drzew leśnych, jest zbawiennym dla zdrowia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WIADOMOŚCI Z HYGIENY.

Odzienie w ogólności. — Odzienie jako ochrona od zimna. — Odzienie jako przewodnik elektryczności, wilgoci. — Inne własności fizyczne odzienia. — Metoda D-ra Jaegera. — Kolor odzienia. — Forma jego. — Moda i odzienie. — Odzienie co do części ciała, jakie odziewa; co do wieku; płci (gorset); co do ogólnego stanu zdrowia; co do pory dnia, (pościel); co do pory roku. — Czystość odzienia.

(Dokończenie).

Kto zna sekreta odzienia mężczyzny i kobiety ten doskonale wie oile pod względem higienicznym pierwsze wyżej stoi od drugiego. Są w niem pewne niedokładności, są także szkodliwości, ale w porównaniu z odzieniem kobiet, są to mało znaczące grzechy, które zbyt szkodliwych następstw dla zdrowia za sobą nie pociągają. Każdy z łatwością się domyśli, że przedewszystkiem idzie mi tu o gorset. Gorset nie jest nabytkiem nowoczesnych czasów; używano go, jakkolwiek w innej postaci, i w Starożytności, dzisiejszy pancierz z metalowymi brykami, twardy i ciasny, przeszkadzający oddychaniu, krążeniu krwi i trawieniu, powinien być albo kardynalnie zmienionym, albo nawet wykreślonym z arsenału strojów niewieścich.

Zapatrząc się bezstronnie, nie podobna nie

przyznać, że dla niektórych kobiet z powodów anatomicznych jest coś w rodzaju gorsetu niezbędnym; przemawia także na jego korzyść to, że dolna część ubrania kobiet, dosyć ciężka ma na nim punkt oporu, a niebezpośrednio na biodrach, jakby to miało miejsce, gdyby go zarzucono, lecz powtarzam raz jeszcze, jeżeli możliwe jest jego tolerowanie, to nigdy w takiej formie, jaka jest dzisiaj i nigdy dla młodych dziewczyn jeszcze nierozwiniętych.

Posłuchajmy co o gorsecie mówi Michał Lévy, znakomity higienista francuzki: „Gorset, noszony w młodym wieku t. j. przez dorastające pannieki, ściska kości, nie pozwala im się dokładnie rozwinąć, a temsamem szkodliwie oddziałuje na wnętrzości. Lekarze szpitala Salpêtrière, którzy w tym celu robili badania na trupach, znajdowali zawsze, skutkiem zbyt wczesnego noszenia gorsetu, zmiany w dolnej części klatki piersiowej, mianowicie, że takowa w tem miejscu, zamiast być rozszerzoną, stawała się lejkowatą, co koniecznie z sobą pociąga zaburzenia w funkcjach oddychania, krążenia i trawienia. Jest to powodem zastoju krwi w płucach, krwiopłucia, przerostu serca i ospałości w trawieniu. Według Ferrasa — mówi dalej Lévy — wątroba uciskana jest przemieszczoną, o kilka cali, a Soemmering widział żołądek prawie rozdzielony na dwie połowy skutkiem ucisku metalowej bryki; z czasem, t. j. przy ciągłym noszeniu gorsetu, żołądek zamienia się w wąską podłużną rurkę, podobną do kiszki, przyczem podlega kompletnej dyslokacji, a jako taki, nie jest w stanie przyjąć dostatecznej ilości pokarmów, ani ich należycie strawić i przyswoić organizmowi; i tu właśnie leży jeden z głównych powodów częstych niestrawności, a poza tem blednicy i innych chorób, na które tak często zapadają te ofiary mody. Czy przynajmniej — zapytuje Lévy — gorsety zachowują piękność i kształt biustu? — odpowiedź i tym razem wypada przecząco — biust kobiety, która zbyt wczesnie zaczęła nosić krepujący ją gorset, traci właściwą formę i jędrność, piersi nie rozwijają się należycie i często bardzo staje się to powodem chorobliwego stwardnienia gruczołów mlecznych. Z tych powodów należy ich bezwarunkowo wzbronić młodym dziewczętom, a chcąc wynagrodzić szkody, jakie przyczynił, zalecić w celu rozwinięcia systematu kostnego i mięsnego, gimnastykę i zimne kąpiele. Jeżeli można kobietom nadmiarę rozwiniętych dozwolić noszenia ciasnych gorsetów, to za to kobiety słabo rozwinięte powinny ich się raz na zawsze wyrzec. W stanie poważnym każde uciśnienie, jakejkolwiek części ciała, jest szkodliwym. Raciborski w swem dziele: „De la puberté et de l'âge critique chez la femme“ wykazał, że jednym z najczęstszych powodów nierozwinięcia się piersi u kobiet są właśnie gorsety.“

Nie będziemy dłużej zatrzymywać się nad tym przedmiotem; zabrałby on — gdybyśmy chcieli wymienić wszystkie grzechy, jakie popełniają panie względem higieny odzienia — zawiele miejsca. Z tego względu nie możemy szczegółowo opisywać złych skutków krynolin, turniur, otwartych futer i t. p., zresztą w ogólnej części wykazaliśmy, jakim powinno być odzienie, aby odpowiadało wymaganiom higieny.

Że organizm dotknięty chroniczną chorobą i rekonwalescent potrzebują większej troskliwości w zabezpieczeniu się od wpływów atmosfery, to, zdaje się nie potrzebuje dowodzenia, wie o tem każdy, aż nadto dobrze. Szczególniej wystrzegać się winni rekonwalescenci po chorobach wysypkowych: tyfusie, szkarlatynie, ospie i odrze, wtedy bowiem zaziębienie następuje z wielką łatwością i jest niezmiernie groźnym; to samo stosuje się do chorych tak zwanych „piersiowych“; dla nich-to zalecić można w całej obszerności wełniane (flanelowo) koszulki i inne części ubrania. Professor Chałubiński nazywa nas „bohaterami północy“, bo kiedy w południowych krajach wszyscy ludzie słabszej kompleksii noszą podobne odzienie u nas, bądź-to przez brawurę, bądź przez zbytnią delikatność, czynią to jedynie ci, którym już nie wiele się należy.

W naszym zmiennym klimacie przychodzi szczególnie na wiosnę i jesienią, nie rzadko kilka

razy dziennie zmieniać odzienie i tak, ponieważ bywa w kwietniu np. rano 2 stopnie ciepła a w południe 14, samo przez się rozumie się, że nie podobna taksamo być ubranym rano, jak w południe, bo kiedy o g. 8 wypada mieć watawe paltó albo nawet futro, o 2-giej można w lekkim żakiecie paradować po ulicach albo nawet siedzieć w Ogrodzie Saskim. Większa jeszcze potrzeba zachodzi często, ciepłego ubrania porą wieczorną ma to nawet miejsce w czasie skwarne lata, pozostając na otwartem powietrzu nocną porą bez ciepłego okrycia, to pewne prawie zaziębienie. Najczęściej jednakże takowe powstają na wiosnę i w jesieni, jest-to pora, w której mamy w powietrzu atmosferycznym najwięcej zarazków i miazmat chorobnych, tak nazwany *genius epidemicus* i wtedy to widzimy taką obfitość katarów i zapaleń płuc, tyfusów i chorób wysypkowych.

Ponieważ człowiek śpiąc, zdejmując odzienie, skutkiem tego pościel mu ją zastępuje, dla tego słów parę jej tu poświęcimy a tem bardziej zasługuje na to, że prawie pół życia przychodzi spędzić w łóżku. Jestem niewzruszonym przeciwnikiem pierzy, oile zapamiętać mogą nigdy na piernatach i pod pierzynami nie sypiałem, przepraszam, zdarzyło się, że razu pewnego przyjechawszy nocą do Królewca, stanąłem w hotelu de Berlin, gdzie na razie, prócz wyżej wspomnianych betów, innych dostać nie mogłem, i, chociaż miało to miejsce w bardzo chłodną noc kwietniową, całą noc, pomimo kilkunasto-godzinnej podróży, oka zmrużyć nie mogłem. Nie śmiem przeczyć, że jest to tylko kwestya przyzwyczajenia, boć tyle milionów ludzi sypia smacznie pod pierzynami i na piernatach i podobno dobrze im z tem, ale nie mogę się zgodzić, aby to było korzystnem dla zdrowia, aby nie powodowało pewnej gnuśności i ociężałości. Najwłaściwszem posłaniem dla człowieka zdrowego jest materac włosiany, takąż poduszka skórzana i kołdra, w zimie flanelowa lub watawa, a w lecie pikowa, wszystko to powinno być pokryte płótnem, równo wyciągniętem i bez szwów, które należy przynajmniej co 14 dni zmieniać, a pościel na powietrzu przetrzepywać. Pedanci wymagają, aby włosy były co pół roku wyjmowanymi i aby je poddawano gotowaniu: jest to zbyt ciężki koszt i ambaras, naszym zdaniem: dokładne wytrzepywanie wystarczy. Rozumie się, że po każdej chorobie a szczególnie zaraźliwej, należy, powyższą manipulacją z dodatkiem dezynfekcyi, bezwarunkowo wykonywać.

Czystość odzienia jest bardzo rzeczą ważną. Rzeczy płócienne za pomocą prania wodą i mydłem oczyszczają się najzupełniej i im częściej zmienia się bieliznę, tem korzystniej jest dla zdrowia. Trudniej nieco utrzymać w pożądaną czystość odzienie z wełny, jak sukienne, kortowe, syberynowe i futra; po największej części wystarcza trzepanie i czyszczenie szczotką lub miotełką. W wypadkach, gdzie idzie o zniszczenie organizmów chorobotwórczych, które się w odzieniu znajdują, należy je poddać działaniu powietrza ogrzanego do 100° C w stosownie urządzonych szafach, lub działaniu par siarki, chloru, kwasu karbolowego i t. p.

W zakończeniu, niech mi czytelniczki, pozwolą zanieść do siebie modę: aby część czasu, starań i pieniędzy, jakie poświęcają wymaganiom mody, przeznaczyły na wykonanie powyższych rad, o które jedynie w celu zachowania zdrowia a temsamem piękności, upraszając dodają: że żadna ozdoba toaletowa nie uczyni tego, co zrobić może zdrowie.

Dr. Józef Starkman.

## DROBNE LISTKI.

— Umarła Okt. Feuilleta, najważniejszym jest obecnie wypadkiem w literaturze francuzkiej. Co raz-to nowe wydania, z dnia na dzień następują po sobie. Krytycy, jak łatwo zgadnąć, rozdzielili się na dwa obozy: podczas gdy jedni sarkastycznym

piórem chłoszczą akademicki idealizm autora, drudzy widzą w tej książce szczupłej rozmiarem, ale wielkiej żywotną myślą „datę ostatecznej reakcji, przeciw bezecnej literaturze, z której hańba spływa na całe społeczeństwo, porwane szaleńcem, pogrążone w ślepotę, dążące do samobójstwa.“ Takie to znaczenie nadaje nestor krytyków francuzkich, Armand Pontmartin, pięknej powieści Feuilleta.

Nie będziemy tu rozbiierać utworu, znanego już w Warszawie; uważamy tylko za obowiązek, zaznaczyć wielkie wrażenie, jakie to psychologiczne studium sprawiło na publiczności paryzkiej. Autor podniósł tu w żywotny sposób walkę sceptycyzmu z wiarą, przeprowadził tę walkę przez najdramatyczniejsze sytuacje i zakończył ją na grobie ofiary wielkiem *Gallilaei vicisti*, wybiegłem z duszy zaciętego sceptyka. Wszystko tu przeprowadzone bez naciągania, prawda wypływa sama przez się.

Z najcisłszej loiką, pokazuje autor wpływ owych ludzi nieposzlakowanych w życiu, owych filantropów pracujących dla dobra ludzkości, którzy, zaufani w potęgę myśli własnej, zamykają oczy na wszystko, czego rozum nie złamie. Jeśli ci myśliciele mogą niekiedy wytrwać na prostej drodze, biada za to ich uczniom, którzy, idąc wskazanym torem, doprowadzają ich zasady do ostatecznej konsekwencji. Feuillet doskonale uwydatnił tę myśl w spotkaniu doktora materialisty z wychowanką, po dokonanej przez nią zbrodni. Oto straszny ten ustęp.

„Znikła wszelka wątpliwość: Sabina otruła Alietę. Pod klątwą doktora, zbrodniarka podnosi głowę, rzuca mu w oczy piorunujące słowa.

„I czemuż to, rzeczy, nie miałam posłużyć się tą nauką, którą mnie nasyciłeś, odzierając mnie z wszelkiej wiary? Ponieważ wyrobiłeś mnie na własną modłę, a żalił sądziłeś, mistrzu, że nie mam wyobraźni, ani świadomości własnych wdzięków, ani chęci używania wszystkiego, co mi świat zapewnia w przyszłości? Cnota bez religii to proste oszukaństwo. Jeżeli niebo nie dać mi nie może, niechajże ziemia zadosyć uczyni dumie mojej, zadowolni pragnienia moje. Nakarmiona przez ciebie nauką, a pozbawiona wiary, użyłam bez wyrzutu środków, jakie nastęrczyła mi wiedza. Zdarzyła się okoliczność, mogłam posłużyć człowieka bogatego, pięknego, pełnego rozumu, przesiąkniętego, jak ja, sceptycyzmem. Korzystałam z tej sposobności. Nie masz prawa dziwić się, ani ubolewać nademną, ani wydawać mnie w ręce sprawiedliwości. Kocham hrabiego, on mnie kocha, za rok będę jego żoną. On nie wie o niczem, ode mnie też nie dowie się prawdy.“

Doktor, przerażony tą nieprzebraną loiką, nie przeżył słusznego wyrzutu. Serce mu pękło, skonał tejsamej nocy.

Pięknie Feuillet kończy powieść. Hrabia, nie szczęśliwy w nowych związkach, odgaduje nakoniec prawdę całą. Czując bliską śmierć, pragnie umrzeć, połączony z Alietą w uczuciach religijnym. Biedna, zwyciężona za życia, zatryumfowała po śmierci.

— **Reakcja w teatrach paryzkich.** — W teatrach paryzkich zaczynamy już dostrzegać pomyslną reakcją. Pobudkę do tego zwrotu daje sama publiczność, znudzona widocznie stekiem obrzydliwych obrazów, którymi pełni talentu pisarze dramatyczni zaleli scenę francuzką. *Sapho* Daudeta wbrew oczekiwaniu dyrekcyi ustąpiła z afisza Gimnazyum Dramatycznego; tensam los spotkał *Georgette* Wiktoryna Sardou. Wznowionej *Mariion Delorme*, Wiktora Hugo, nie utrzymał talent Sary Bernhardt. Przebrała się widocznie miara. Za to pięknie pisany dramat Coppégo, *Jakobici*, mimo, że sam przedmiot historyczny, wymagający

wyższego ukształcenia w słuchaczach, nie mógł porywać tłumów, dramat Coppégo, powtarzany w ciągu kilkudziesięciu przedstawień, obsypywany był najgorętszymi oklaskami; niemniej zajęła publiczność komedia Banville'a: *Sokrates i Xantypa*, pełna soli atyckiej, lecz żadnym nie przypieprzona skandalem. Nie będziemy już mówić o tych sztukach: obie wyjdą w polskim przekładzie.

— **Teniers na scenie.** W tych dniach na scenie Odeonu ukazała się jednoaktowa komedyjka wierszem, dwóch młodych poetów Noël i Paté, pod tytułem: *Dawid Teniers* — drobnostka, ale napisana z życiem, poprowadzona zręcznie, zaprawna wesołą humorystyką. Rzecz dzieje się w Antwerpii, w siedmiastym wieku. Skutkiem wojny ruch artystyczny zatrzymał się chwilowo: mistrze nie porzucili pędzla, tworzą z zapalem, lecz nikt nie nabywa ich utworów. Dawid Teniers patrzy smutnym okiem na setki płócien nagromadzone w pracowni. Wymyśla sposób: śmierć mistrza najpewniejszą bywa reklamą: amatorowie zasypią złotem utwory pędzla, który wypadł już z martwej ręki, gdy tymczasem żywy artysta nieraz przymierać musi głodu. Teniersowi nie tyle szło o zysk materialny, głównie chciał, żeby świat ocenił wartość prac jego rad też był pochłubić się niemi.

Za namową młodej żony, mistrz znika nagle z widowni, puszczono wieść, że popłynął morzem wobce kraje, że pochwycony przez Piratów, zakończył życie w więzach. Artysta tymczasem przebywa w Amsterdamie; wie tylko o nim młoda i piękna żona. Teniers poślubił ją niedawno, po śmierci pierwszej małżonki; kocha ją gorąco, a miłość budzi w nim szaloną zazdrość, mimo, że piękna Izabella nie dała do niej najmniejszego powodu.

Zdaniem powszechnem, Teniers umarł, Izabella jest zatem wdową. Wdzięki jej ścigają zalotników: powtarza się tu sceny z „*Odyssei*“. Nowa Penelopa umie zręcznie trzymać zdala od siebie i pilnie czuwa nad sprawą swego Ulyssesa. W grobie natrętów jest świetny panicz francuzki, baron d'Echevannes. Powtarzające się od wiedziny tego Antinousa nie przypadły do smaku Ulyssesa. Radby czempredziej spojrzeć zuchwalcy prosto w oczy, ale przezorność trzyma go w ukryciu, dopóki sprzedaż obrazów nie będzie dokonana.

Nadszedł wreszcie dzień oznaczony; tłum napelniał pracownię; złoto sypie się pełną garścią. Wśród obrazów pozostał jeszcze portret dorodnej Izabelli. Zalotny baron ofiaruje bajeczną sumę, ale znalazł twardego współzawodnika, który z niesłychaną zaciętością pędzi go coraz wyżej. Nie wiadomo, ktoby zwyciężył, kiedy przeciwnik barona i uniesiony gniewem, uderza kosturą w obraz i rozdziera go na części. Ten zapalenie, to sam Teniers, przebrany za podróznego cudzoziemca.

Burmistrz von Beverninck wdaje się sam w tę sprawę. Surowy Flamand ściagał pilnem okiem Izabellę, w nieobecności męża; nie dopatrzył w niej śladu lekkomyślności. Zazdrośnik przyznaje się do winy, błaga żonę o przebaczenie. Zaprzysięga jej bezwarunkową ufność. Wszystko więc kończy się z powszechnem zadowoleniem. Zgoda domowa przywrócona: w dodatku szczęśliwy Teniers córkę z pierwszego małżeństwa oddaje synowi Burmistrza, zdolnemu malarzowi. Serca młodej pary skłaniały się oddawna ku sobie, różnica majątku kładła im do szczęścia zapórę. Usunął ją posag panienki, dzięki rozprzedanym obrazom.

— **Pisma R. Wagnera.** Parę miesięcy temu wyszły w Lipsku ulotne pisma Ryszarda Wagnera, zebrane po śmierci i wydane pod tytułem: „*Entwürfe, Gedanken, Fragmente*.“ Niektóre

z nich były już dawniej drukowane po dziennikach i przeglądach; inne dotąd nieogłoszone drukiem. Na czele książki wypisana myśl, przypisywana Likurgowi, „Lud który pomiata przeszłością swoją, nie ma wcale przyszłości.“

Wśród fragmentów bieglem kreślonych piórem, nie wszystkie dotyczą muzyki. Są tam uwagi nad komunizmem, rozprawki o sztukach pięknych w ogólności, podniesione pytania społeczne, etnograficzne i t. p.

W ciekawym ustępie o twórczości w sztuce Wagner usiłuje dowieść, że sam tylko lud może tworzyć. Tęsamą myśl wyraża doskonale nasze podanie o tej cudownej fujarze wystruganej z wierzby, co nigdy nie słyszała nic, ani szumu wody, ani piania koguta, a której siła tak wielka, że porywa w płasy i żywych i umarłych. Zdaniem Wagnera, najgenialniejszy z uczonych poetów o tyle tylko jest twórczym, o ile rozumie, wyraża i przedstawia w doskonałej formie to, co lud pierwotnie utworzył.

Wagner miał zamiar z tych luźnych fragmentów ułożyć trzy osobne tomy. Pokazuje to kartka okładowa, nakreślona przez niego, obejmująca trzy tytuły: „*Sztuka i rewolucya*,“ „*Sztuka i artyści w przyszłości*,“ „*Przyszłe dzieła sztuki*.“ Do działu ostatniego dodany jest spis przedmiotów treści rozmaitej: *metafizyka, sztuka i religia, moralność, chrystyanizm, dyssertacya nad sztuką i religią, żywioł niewieści wśród ludzkości, małżeństwa* — niektóre z tych rozpraw dane są tylko w ogólnikowym zarysie.

Wśród wykonanych szkiców znajdujemy charakterystyczną powiastkę; wiadomo: czy Wagner wy dobył ją ze starogermańskich mytów, czy też wysnuł z własnej fantazyi. Podajemy ją w treści: Przyszło na świat dziecię Wikingsa i Washildy: trzy Norny otaczają kołębkę spiącego niemowlęcia. Jedna przynosi mu w darze mądrość, druga siłę, trzecia niezadowolenie i nieustanny popęd ku nowości. Rozgniewany Wiking gromi ostro zachwałą Nornę; ta odbiera swój dar, ostrzegając ojca, że pożałuje gorzko niewczesnego zapędu.

Jakoż dziecko wyrosło na olbrzyma: siła wielka, umysł potężny, ale brak mu woli do działania. Nie skarży się na to, czego mu braknie nie myśli zdobywać nic przebojem. Znosi cierpliwie szyderstwa, czuje bowiem ich słuszność. Wpada jedynie w gniew, gdy słyszy znieważane imię matki. Olbrzym nie zbudował okrętu, ale znał wszystkie mielizny, rzek i mórz, brodził wśród nich niepiecznie. Ow olbrzym, to lud niemiecki, pełen siły i zdrowego rozumu, ale złe wychowanie tamuje w nim rozwój władz umysłowych, tak samo jak w mytycznym synu Wikingsa.

Wśród szkiców niewykonywanych, znajdujemy zarys wielkiej kompozycyi muzycznej pod tytułem: „*Zwycięzcy*,“ nakreślony w Zurychu r. 1856. Treść lirycznego dramatu, miała być wysnuta z życia Buddy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Wydziezdziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego; oraz arkuusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Wiosna, poezya, M. I. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, I. J. Kraszewskiego. — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego. — Wiadomości z higieny, (dokończenie), przez Dra Józefa Starkmana. — Drobne listki.

**Dodatek obejmuje:** Dokończenie powieści pod tytułem: **Wydziezdziczony**, przez Łukasza Malet'a; oraz arkuusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret. — Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Марта 1886 года.